

Ostatni taki marsz



FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI



KRZYSZTOF RAWA

Z ATEN

Robert Korzeniowski spełnił swoje ostatnie sportowe marzenie - w Atenach został po raz trzeci mistrzem olimpijskim w chodzie na 50 km i zdobył, jak żaden inny Polak, czwarte złoto igrzysk. Wygrał wspaniale i pewnie. O ponad cztery minuty wyprzedził dwóch Rosjan - Denisa Niżegorodowa i Aleksieja Wojewodina. To był polski chód także dlatego, że doskonale szli Roman Magdziarczyk (był szósty) i Grzegorz Sudoł (siódmy).

Denis Niżegorodow wiele zapłacił za odwagę i wiarę, że jest równy mistrzowi

Ten film niemal zawsze zaczynał się tak samo. Jak równo rok temu w Paryżu, jak w Sydney, jak w Atlancie. Za oknem jeszcze ciemno, a już trzeba wstawać. Ateński chód na 50 km rozpoczynał się o 7.00 rano czasu greckiego. I bardzo dobrze, bo kilka godzin później asfalt na ulicach przyklejałby się do butów chodźcy.

(C) AFP/JEFF HAYNE

Na stadionie olimpijskim tłumów nie było, nie tylko z powodu wczesnej pory. Gospodarze obiecywali wprawdzie wolny wstęp na start i zakończenie chodu na 50 km, ale zapomnieli dodać, że u bram trzeba pokazać darmowe bilety, które rozdano sponsorom igrzysk. Tylko ten, kto miał dostęp do sponsorów, miał wejściówkę, więc niewielu się udało. Polak w Atenach jednak nie gapa, więc biało-czerwoni byli i na trybunach, i na ulicach przy stadionie, tam gdzie niebieskimi taśmami i metalowymi barierkami wytyczono dwukilometrową pętlę.

To znany widok - głośnie grupa dzieciaków z Racota, dojrzała grupa w barwach Elite Cafe, obok transparenty z Andrychowa, Suwałk, Konina, Ostrzeszowa, Olkusza. Potrzeba identyfikacji z krajem i mistrzem ogromna - barwy narodowe, orły, wymalowane flagi na twarzach, napisy rymowane i wierszem białym. Ze wszystkich słów bije ogromna wiara w złoto Korzeniowskiego.

Przyzwyczajaliśmy się do tego rytuału. Właściwie nie ma prawa być inaczej - start i Polak w pierwszej linii. Pierwszy wychodzi ze stadionu i pierwszy wraca. Robert Korzeniowski chyba także lubi te małe pokazy siły. Olimpijski chód w Atenach zaczął jak zawsze. I kiedy po kilkunastu minutach przewodził sześciuosobowej grupie, świat wydawał się nam uporządkowany, jak należy. Obok Polaka rażno maszerował Niemiec Andreas Erm, niespodziewany brązowy medalista ostatnich mistrzostw świata, jak zwykle był blisko Łotysz Ainars Fadejevs, trzymał się Australijczyk Nathan Deakes, Chińczyk Caochong Yu i wreszcie Denis Niżegorodow, 24-letni Rosjanin, ten, który 13 czerwca u siebie w Czeboksarach odebrał Polakowi rekord świata. Magdziarczyk i Sudoł nawet nie próbowali ścigać się z mistrzem. Zostali w drugiej grupie, w której był jeszcze mocny Rosjanin Wojewodina i paru innych.

Sędziowie wydawali się w ten piątkowy rano łaskawi. Może z początku słabo widzieli stopy chodźcy, bo słońce wyjrzało dopiero koło trzeciego okrążenia. Tak czy inaczej, szybko wyrzucili z trasy tylko zapóźnionego Japończyka, nieco później dodali mu Włocha i sportowca z Gwatemali. Z tych na czele postraszyli żółtą kartką Erma, Deakesa i Fadejevsa. Łotysz chyba pamiętał, że w Paryżu nie mieli dłań litości, więc z zalem zostawił grupę i zwolnił. Chciał dojść do mety.

Minęła godzina, najszybsi przeszli 15 kilometrów w warunkach małej stabilizacji. Na przedzie śmiały Niżegorodow, za nim Korzeniowski i pozostali. Tempo ostre jak na ateńską spiekotę, odważne, ktoś wyliczył, że może być blisko rekordu olimpijskiego, czyli 3:38 z sekundami. Przed dwudziestym kilometrem tego tempa nie wytrzymał Erm. Najpierw zaczął lekko kuleć, potem coraz bardziej skrzywiony patrzył z rozpaczą na oddalające się plecy rywali. Powtórki z Paryża nie było. Niemiec jeszcze próbował, ale podrygi na jednej zdrowej nodze zupełnie nie spodobaly się sędziom i koło 30 km zdjęli go z trasy. Została czwórka.

Rosjanin wciąż part do przodu metr czy dwa przed Polakiem, nie oglądał się i w zapale czasem zapominał o napojach. - Surowo zapłaci za takie niby drobne zaniedbania. To dobrze dla nas - mówił trener Krzysztof Kisiel. Chińczyk wydawał się w tym towarzystwie trochę na przyczepkę, niewiadomą był Deakes, który sprawiał wrażenie, że może walczyć o medal. Korzeniowski wiedział najlepiej, co robić. Gdy wyczuł, że Niżegorodow zaczyna słabnąć, objął prowadzenie i przyspieszył. Moment wybrał po mistrzowsku, bo Denis zaczął szeroko otwierać usta i z bojowości w oczach nie zostało śladu. Nagle ujrzał, że jest z Chińczykiem w tyle i chyba przez chwilę nie wiedział, co się dzieje.

Tyle trzeba było Korzeniowskiemu. Nawet nie bardzo musiał się oglądać - trasa miała kilka zakrętów, na których doskonale było widać, że przewaga rośnie. Sędziowie uznali, że Nathan Deakes trzyma się Polaka tylko dzięki podbieganiu, wyrok wykonali szybko i po 35 km nasz mistrz był już sam.

Co było dalej? Czysta radość - czasomierze pokazywały, że przewaga lidera stale rośnie. Po 40 km była to już minuta, po 45 prawie dwie. Co tu krzyć, ten chód został wygrany w chwili, gdy Robert Korzeniowski pierwszy raz postanowił sprawdzić odporność rekordzisty świata, chłopaka z rosyjskiego Sarańska. Na stadion Polak wszedł z przewagą czterech minut, więc ostatnią prostą pokonał niespiesznie z biało-czerwoną flagą w dłoniach i w zębach, z uśmiechem na tyle szerokim, na ile pozwalała flaga.

Denis Niżegorodow wiele zapłacił za odwagę i wiarę, że jest równy mistrzowi. Ostatnie kilkaset metrów pokonywał zakosami, dobrzy ludzie wskazali mu, gdzie jest brama. Widok trybun, bieżni i meły dał Rosjaninowi impuls, by się nie przewrócić. Chyba na długo zapamięta tę lekcję. Miał i tak trochę szczęścia, że Aleksiej Wojewodin, kolega z drużyny, był na początku ostrożny i przyspieszył trochę za późno, by zdobyć srebro.

Robert Korzeniowski zbierał gratulacje, na stadion docierali następni zawodnicy - Chińczyk Yu, Hiszpan Garcia, dwaj Polacy i kolejni chodziarze. Tak chciało się zatrzymać tę polską radość na długo, ale pamięć podpowiadała, że oglądaliśmy ostatni taki marsz Roberta Korzeniowskiego. Tych słów nie wolno zatem pominąć: dziękujemy, panie Robercie, za te wszystkie lata, za te marsze, medale i rekordy. Będzie żal, bo były naprawdę piękne.